

Prof. Andrzej Mencwel: Jak się stwarza naród?

Jak Onufry Zagłoba, który należy do ulubieńców Dariusza Gawina, a nie moich, chciałbym wykrzyknąć: hola, mości panowie! Pomijam źle wyważone oceny III Rzeczypospolitej, bo obroni się ona sama – gdyby nie jej zdobycze, podmiotowość Polski w Europie i świecie byłaby marzeniem, a nie problemem – pisze prof. Andrzej Mencwel

Wracam do tez programowych „polityki historycznej” oraz uzasadnień, jakie dopisują do niej trzej eseści. Ich książki (Marek A. Cichocki, „Władza i pamięć”; Dariusz Gawin, „Polska, wieczny romans”; Dariusz Karłowicz, „Koniec snu Konstantyna”) są zresztą bogatsze i nie sprowadzają się do tego programu: Gawina pasjonuje ideowa dramaturgia nowoczesnej literatury polskiej, Cichocki rozważa wielostronnie problematykę Unii Europejskiej, Karłowicz myśli z powagą o „chrześcijaństwie w pochrześcijańskim świecie”. Roztrząsania te zostają wpisane w pewną diagnozę historyczno-polityczną, która najkrócej ma się tak: po roku 1989 Polska wybrała taki wariant modernizacji, który dawał bezwzględny prymat ekonomice, społeczeństwo sprowadzając do arytmetycznej sumy jednostek rzuconych na wolny rynek, który silnych wzmocnił, a słabych wyczerpał. Skutkiem było nie tylko aspołeczne urynkowanie gospodarki, ale także oligarchizacja państwa, rozproszenie społeczeństwa i osłabienie tożsamości narodowej. Odpowiadają za to wszystko nie tylko układy rządzące, ale i „lewicowy monopol na nowoczesność”, utrwalony w polskim wieku XX. III Rzeczpospolita była bowiem, zdaniem młodych konserwatystów, domeną liberalnej lewicy.

* * *

Muszę odłożyć na bok te konteksty, a zająć się tylko tym, co bezpośrednio dotyczy „polityki historycznej”. Dwa motywy przewodnie prowadzą refleksję trzech autorów w tej kwestii i nazwę je ich własnymi określeniami: „kultura amnezji” oraz „wspólnota narodowa”. Jak same nazwy wskazują, są one powiązane z diagnozą historyczno-polityczną, a nawet z niej wynikają i wzmacnia to spójność wywodów. Kultura amnezji („zaniku pamięci”, „prewencji pamięci” – to synonimy) jest, ich zdaniem, nieodłącznie związana z modernizacją lewicowo-liberalną. Preferując ekonomię – postponuje się historię, święcąc rynek – niweluje tradycję, wybierając przyszłość – pomija przeszłość. Wyborcze hasło Aleksandra Kwaśniewskiego („Wyberzmy przyszłość”) stanowi, zdaniem autorów, potrójną ilustrację tej programowej amnezji. Jest reliktem, właściwego lewicy, oświeceniowego progresizmu, który przyszłość automatycznie waloryzuje dodatnio; jest ilustracją liberalnego modernizmu, który nie pyta o ludzką cenę zmian; jest wreszcie zaklęciem tej socjaldemokracji, która swoją przeszłość musi ukrywać. Myślę, że dokonują oni pochlebnej dla byłego prezydenta nadinterpretacji tego hasła, nie wątpię jednak, że jego partia kulturę amnezji uprawiała i uprawia przykładnie. Z czego bynajmniej nie wynika, że kultura ta panowała w III Rzeczypospolitej, historię z niej wygnano, a tradycję wyklęto. Esdecja, co prawda, dość dużo w niej rządziła, ale prawie nad niczym nie panowała.

Prawdą jest natomiast, że w istotnych niekiedy odniesieniach przegraliśmy rywalizację symboliczną. „Solidarność” jest żywą nadal legendą, ale nie stała się powszechnie uznanym symbolem nie tylko wolności narodowej, ale i emancypacji pracujących. Zaważył na tym

brak dobrej społecznej interpretacji, a nie tylko skutecznej promocji. Jeśli „Solidarność” pozostaje jedynie polską irredentą moralną, nie zaś zwieńczeniem stuletniego, co najmniej, ruchu emancypacji pracujących, wówczas jej znaczenie musi być ograniczone. Redukcję tę kontynuują również konserwatywni eseiści, bo podkreślają tylko jej walory religijno–etyczne. Jak przystało na konserwatystów, mają oni w ogóle dość paternalistyczną wyobraźnię społeczną. Gdyby przyszło im porównać wydarzenia lat 1980/1981 z wydarzeniami lat 1904/1906, pominęliby „Różę” Żeromskiego i odesłali nas do „Wirów” Sienkiewicza.

Obalenie muru berlińskiego zastąpiło, w europejskiej przynajmniej wyobraźni, redutę Stoczni Gdańskiej; Rosja, w moskiewskim stylu, zamknęła sprawę Katynia, a Niemcy zbudują swoje centrum wypędzonych. Nie były to zapewne jedyne nasze porażki w dziedzinie symboli, ale to one przede wszystkim, są wskazywane przez konserwatywnych modernistów, którym przecież chodzi o wiktorię gdańską, a nie wiedeńską. Symbole nie są teatralnymi dekoracjami – są żywymi oznakami tożsamości zbiorowej oraz podmiotowości historycznej i dlatego trzeba o nie dbać. Porażki w tej dziedzinie bez wątpienia wynikają z zaniechań, ale nie odnosi się też sukcesów, poprzestając na reakcjach sprowokowanych: tym postawimy muzeum pod nosem, a tamtym zabierzemy eksponaty!

Uogólnienia są zawodne – lewica europejska uprawiała i uprawia nadal historię narodowe i historię powszechną. To tylko w Polsce socjaldemokracja jest partią bez przeszłości, bo nie umiała odtworzyć tej tradycji, jaką zerwali komuniści. Tym kompleksem można tłumaczyć to, że nie uczczono należycie powstania warszawskiego w jego półwiecze. Obchody 60. rocznicy powstania, zdaniem rzeczników

„polityki historycznej”, oznaczają odrzucenie „kultury amnezji” i przełom w pamięci narodowej; niewątpliwy sukces Muzeum Powstania Warszawskiego jest przykładem koronnym nowej polityki, a jego aranżacja udaną syntezą nowoczesności i tradycji. Jeśli użyć poetyki właściwej rzecznikom tej polityki, można oznajmić: ekonomia została skruszona, historia triumfuje!

I tu jak Onufry Zagłoba, który należy do ulubieńców Dariusza Gawina, a nie moich, chciałbym wykrzyknąć: hola, mości panowie! Pomijam źle wyważone oceny III Rzeczypospolitej, bo obroni się ona sama – gdyby nie jej zdobycze, podmiotowość Polski w Europie i świecie byłaby marzeniem, a nie problemem. Co do ekonomii, to jest krucha i obchodzić się z nią trzeba jak ze święconym jajkiem, o czym już wiedzą rządzący. Nie rozumiem natomiast jak ci, którzy zabiegają o powrót tradycji do współczesności oraz historii do naszej wyobraźni, mogli przeoczyć, żeby nie powiedzieć – prześlepić, prawie wszystko to, czego w dziejopisarstwie polskim dokonano w ostatnich dziesięcioleciach. Więc zupełnie nowy obraz naszych pradziejów u Karola Modzelewskiego, bogaty wizerunek literatury i kultury średniowiecza w pracach Teresy Michałowskiej i Jerzego Strzelczyka, pasjonujące dzieje chrześcijaństwa polskiego oraz Europy Środkowej w dziełach Jerzego Kłoczowskiego, inspirującą redakcję historii Europy dokonaną przez Antoniego Mączaka (obok głośnej Normana Daviesa). Całe serie ważnych książek Henryka Samsonowicza i Janusza Tazbira, które znalazły wspólne ujście w popularnej syntezie „Tysiącletnie dzieje”, ale i ona nie zaciekawała polityków historii, choć powinna otwierać dyskusję o Muzeum Historii Polski, bo stanowi poniekąd projekt scenariusza. Nie znajduję też w esejach trzech autorów umotywowanych odniesień do prac Marii Janion i Aliny Witkowskiej, uwagi dotyczące Jerzego Jedlickiego i Andrzeja Walickiego są właściwie marginalne, a eseistyka filozoficzno–polityczna Krzysztofa Pomiana

została pominięta, podobnie jak historyczna Bohdana Cywińskiego. Ich czytelnik nie dowie się też, że w ostatnich latach ukazały się trzy ważne syntezy dziejów dwudziestowiecznych – Andrzeja Paczkowskiego, Wojciecha Roszkowskiego i Andrzeja Friszkego. Towarzyszą temu widocznemu przyływowi dzieł i prac całe ławice utworów źródłowych, biograficznych i eseistycznych, w tym także regionalnych i lokalnych. W jakichś innych krajach przeżyliśmy chyba lata III Rzeczypospolitej, bo co do mnie, byłem pogrążony w historii tak głęboko, jak nigdy dotąd, a nowa wizja dziejowa zaczęła się nam wyłaniać: Corona Regni Poloniae i Rzeczpospolita Obojga Narodów odzyskują w niej swoje miejsce. Panowie się myślą: historia nie została stąd wygnana – historia się tutaj odrodziła!

* * *

Skąd ta konfuzja – wyjaśni nam kwestia wspólnoty narodowej. Przedtem jednak trzeba podkreślić, iż rzecznicy „polityki historycznej” zapatrzeni są w państwo i jego aparat, a nie widzą społeczeństwa i jego działań. Politykę państwa z kolei utożsamiają z polityką partii, stąd III Rzeczpospolita staje się w ich perspektywie partyjnym państwem SLD. To wyzwolenie ludzkich inicjatyw, na wszystkich szczeblach i we wszystkich środowiskach, jakie tworzyło wolnościową i społeczną zarazem atmosferę tamtego czasu, do nich nie dociera. Dlatego też problem wspólnoty narodowej jest dla nich niemal wyłącznie problemem odgórnie zarządzanej organizacji państwowej, a nie powinnością twórczości zbiorowej i ziarnistej, by tak rzec, samoorganizacji społecznej. Co do mnie – jestem tutaj, a wyzwoleniem inicjatyw się syciłem.

Następstwem modernizacji lewicowo-liberalnej, sądzą oni, jest państwo formalne, demokracja proceduralna, społeczeństwo zindywidualizowane (lepiej byłoby napisać, językiem Brzozowskiego – „rozpojedyńczone”). Na tym sypkim piasku, pozbawionym trwałych spoiw, mnożą się wszelkie patologie, zarówno realne, jak i wirtualne. Przechodzę mimo tej oceny negatywnej, gdyż ciekawi mnie ideał pozytywny oraz pomijam patologie, ponieważ wszyscy się nimi podniecają, a prawie nikt nie zajmuje się pulsem twórczości zbiorowej. Nie uważam, podobnie jak trzech autorzy, żeby nasze zbiorowe istnienie spełniało się w państwie prawa, procedurach formalnych i takich cnotach obywatelskich, jak podatkowa sumienność. Ponieważ jednak państwo to jest młode, procedur dopiero się uczymy, a podatkowa sumienność rozmywa się w szarej strefie, więc nie ma tu czego lekce sobie ważyć. „Polak sumienny” był to tytuł powstańczy, a nie lojalistyczny.

Nie jestem zapewne konserwatystą, ale mogę się poddać pragnieniu żywej wspólnoty pokoleń teraźniejszych i przeszłych, oddającej należną cześć swoim bohaterom i kultywującej cnoty heroiczne. Pragnienie takie wyraźnie ożywia trójkę eseistów, a idea tej wspólnoty pobudza ich afirmacje. Zimnemu państwu rynkowego społeczeństwa rozproszonych jednostek konserwatyści przeciwstawiają ciepłą „wspólnotę bezpośrednią”, „solidarność zakorzenioną”, „silną tożsamość”, „naród odnaleziony”. Wbrew drastycznie upolitycznionym podziałom, jakie zarysowały się w tej dyskusji, nie zauważyłem, aby ktokolwiek opowiadał się wprost za „rozpojedyńczonym” konglomeratem osobowości rynkowych, jakim miałyby być, według jej adwersarzy, III Rzeczpospolita. Nawet organ anarchistów „Mat' pariadka”, jeśli głosił radykalny indywidualizm, to na pewno nie rynkowy. Nie włada mną więc „typowo inteligencki resentyment do

tradycji narodowej” (Cichocki) i opowiadał się za wspólnotą narodową. Nawiasem odnotujmy, że programowi tradycjoniści byli również „typowymi inteligentami”. Clou jednak nie w samej tej wspólnotcie, lecz w tym, na czym się ją opiera.

Politykom może wystarczy krzyknąć: „narod!”, aby poczuć dreszcz wspólnoty. Historycy idei jednak powinni wiedzieć, że okrzyk ten nie jest niewinny, a dreszcz dziewiczy. Nowoczesne dzieje Europy i Polski pouczają nas, że narody nie są po prostu dane, lecz zostały historycznie stworzone, a kreacja ta miała i ma różne podstawy, niektóre z nich doprawdy złe. Szczególnie niebezpieczna jest taka koncepcja narodu, która pojmuje go jako twór naturalny, traktuje jak organizm przyrodniczy, okreśłany rasowo lub plemiennie, przypisuje mu siłę biologiczną i wrzuca też w świat ludzki pojęty przyrodniczo, jako arena „walki o byt”, w której silni bezwzględnie eliminują słabych. Darwinizm narodowy lub społeczny nie był marginesem w dziewiętnastowiecznych ideach i teoriach politycznych. I przenikał, a nawet można powiedzieć – przenicował ówczesny nacjonalizm i socjalizm (zwłaszcza we wschodniej Europie, z Austrią i Niemcami). Przenicowane w ten sposób „walka ras” i „walka klas” legły u podstaw zeszłowiecznych katastrof, z ludobójstwem włącznie, toteż trzeba nadzwyczaj starannie snuć każdą nić myśli, zanim się ją zszyje w narodowy (i klasowy) materiał. Chłodno, rozważnie, analitycznie – bez żadnych dziewiczych dreszczy.

Staranności tej brakuje konserwatywnym modernistom, skoro Roman Dmowski występuje w ich pismach jako jedyny właściwie w Polsce autor udanej syntezy narodu i nowoczesności. Nie sądzę otóż, że Roman Dmowski ma być z nowoczesnych dziejów Polski wykreślony z powodu swego obsesyjnego antysemityzmu, bo wniósł niezaprzeczalny wkład w dzieło odzyskania niepodległości państwowej. Antysemitów było u nas huk, a mężów stanu garstka. Nie sądzę też, aby wystarczyło antysemityzmu tego się odrzec, aby dzieło Romana Dmowskiego zajaśniało czystym blaskiem. „Myśli nowoczesnego Polaka” poza tym, że dokonują krytyki naszych wad tradycyjnych (sic!) i uczą realizmu politycznego (antyromantycznego), stanowią tak radykalny i spójny zarazem wykład nacjonalistycznego darwinizmu, że żadnych ewentualnych zalet myśli Dmowskiego od wykładu tego nie da się oderwać. Jak się „nowocześnie” myśli Dmowskim – trzeba Żydów uznawać za wrogi gatunek, podobnie Niemców, a Ukraińców, Białorusinów i Litwinów za surowiec przymusowej polonizacji. W świecie bezwzględnej „walki o byt” siła walczy z siłą, a słabi idą w jasyr. Proszę udać się z taką myślą polityczną do Kijowa, Mińska i Wilna, nie mówiąc już o Berlinie i Tel Awiwie. Próbnie doradzam Puńsk, Hajnówkę, Przemyśl i Opole oraz Jedwabne, w każdą rocznicę. Jeśli to ma być opoka, na której zostanie wykuty gmach narodowego modernizmu, to tutaj kończą się sarmackie facecje, a zaczyna powieść grozy.

* * *

Nie jest tak, żeby autorzy „polityki historycznej” bezkrytycznie się w dziedzictwo Dmowskiego wpisywali. Dariusz Karłowicz nawet go nie wspomina, co uzasadniają jego katolickie afirmacje; Marek Cichocki

dostrzega darwinistyczne obciążenia Dmowskiego i przeciwstawia mu Henryka Elzenberga; tylko Dariusz Gawin go eksponuje i to przeciw Brzozowskiemu i całemu modernizmowi lewicowo-liberalnemu (podług własnej konstrukcji). Ale i on zdaje się być świadom ograniczonego zakresu tego przeciwstawienia, skoro we wstępie zastrzega, że „brak tu (czyli w jego książce) Piłsudskiego” (...), „który przecież zajmuje ważne miejsce w dziejach myśli polskiej XX wieku”. Czy Piłsudski należy do nurtu liberalno-lewicowego czy prawicowo-konserwatywnego w nowoczesnej historii Polski? – oto pytanie, jakie warto postawić historykom idei, aby im uświadomić, że ich typologia nie jest wyczerpująca. Mniejsza zresztą o jej ewentualne weryfikacje – pełny repertuar postaw polskich w XX wieku należy do badań historycznych. Ważniejsze jest to, że opozycja Piłsudski – Dmowski została tutaj, przynajmniej potencjalnie, ożywiona. Jeszcze nie postawiono pytania, pod którym właściwie patronatem ma być tworzona ta „wspólnota narodowa”, ale już się ono zjawia. W Polsce te dwa patronaty, Piłsudskiego i Dmowskiego, nie oznaczają tylko dwóch różnych tradycji partyjnych, oznaczają dwie różne wizje polityczne wraz z koncepcjami narodu, społeczeństwa i państwa. Dlatego nie wystarczy krzyknąć: „Naród! – na złość jakimś domniemanym, wykorzenionym kosmopolitom. Trzeba wiedzieć, za jakim narodem się opowiadamy, a jakiego się odrzekamy. „Ojczyzna”, proszę panów, czy „Synczyzna”? – jak zapytywał, emablowany przez was, Witold Gombrowicz.

prof. Andrzej Mencwel

Rzeczpospolita, Plus Minus

*Copyright by PRESSPUBLICA Sp. z o.o. Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część jak i całość utworów nie może być powielana i
rozpowszechniana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (w
tym także elektroniczny lub mechaniczny lub inny albo na wszelkich
polach eksploatacji) włącznie z kopiowaniem, szeroko pojętą
digitalizacją, fotokopiowaniem lub kopiowaniem - bez pisemnej zgody
PRESSPUBLICA Sp. z o.o. Jakiegokolwiek użycie lub wykorzystanie
utworów w całości lub w części bez zgody PRESSPUBLICA Sp. z o.o. lub
autorów jest zabronione pod groźbą kary i może być ścigane prawnie.*